



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgeberta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

BOHATERSTWO.

(Heroism—by Charles Kingsley—London 1873).

Znany angielski autor wielu dobrych powieści, Karol Kingsley, napisał w roku zeszłym wyborne studium—essay—jak nazywają Anglicy, o bohaterstwie. Obecny stan społeczeństwa nie sprzyja jego zdaniem rozwijaniu się tych cnót wysokich, które wchodziły w dziedzinę bohaterstwa. Warunki życia zbyt uregulowane przez cywilizację czynią ludzi miększymi, tliwsiemi na cierpienie, słabszymi fizycznie, więc słabnie w nas i ta siła moralna, która zowie się odwagą, a której źródłem jest uczucie dzielności wewnętrznej. Spokojność dzisiejszego życia nie hartuje, nie wyrabia rzutkości, jednostajność kołysze do snu moralnego i trzeba niejako budzić serca, aby nie zarzemały, aby wzruszenia uczuć wyższych, dawały tymże sercom dość ruchu, potrzebnego dla duchowej równowagi, duchowego zdrowia człowieka.

Massy uczuwają samą potrzebę takich przebudzeń serdecznych i szukają ich instynktownie; dla tego teatru grają tak znaczną rolę w obyczajach i historii zabaw wieku naszego, ludzie bowiem pragną zobaczyć choć na scenie coś wyższego, kroczonego torem górnijszym, niż ich życie codzienne, nużące przez jednostajność i małość swoją. Aby się nie odrywać od jednoci przedmiotu, autor angielski nie wchodzi w to, czy jednak sztuka dramatyczna odpowiada temu celowi, który powinien być celem sztuki wszelkiej: czy podnosi myśl i odrywa ją od płaskiego poziomu codziennego życia? Na nieszcześnie nie można powiedzieć, aby tak było i poziom sztuki obniżył się jak życie. Teatr, już to dziś nie pełna olimpijskich potęg tragedia grecka; już to nawet nie rycerskie przedstawienie królów i wielkich ludzi: Cydów, Ryszardów, Hamletów, jakie dawał wiek XVII i XVIII. Małe cierpienia, małe straty, drobne troski i radości — oto przedmioty dramy i komedyi mieszczańskiej i dobrze jeszcze jeżeli nędzna farsa nie

psuje obyczajów, jeżeli sofizm i paradoks nie truje serc i umysłów. Kingsley widzi również w warunkach życia dzisiejszego przyczynę, a raczej jak się poprawia, wymówkę tego potwornego gustu do powieści sensacyjnych, szalonych. Tłum który się do nich garnie pragnie przerzucenia się choć myślą w jakąś inną sferę życia, poczuwa może w sobie skryty zaród do wielkich uczuć i czynów, na które nie zdaje się dziś znajdować miejsca. Ludzie czują, czasem bezwiednie, że „natura człowieka jest jak grunt płodny, który może wydawać roślinność bujniejszą, niż ta, której rość pozwoli w małych ogródkach miejskich“. Ponieważ badanie człowieka jest rzeczą zawsze mocno ciekawą dla każdego z ludzi, jest zawsze rzeczą najbliższego dlań interesu, dla tego też massy pragną dowiedzieć się choć w utworach fikcyjnych, czemu to one być mogły, gdyby nagle skala ich życia się podniosła, gdyby wielkie sprawy gorących ukochań i silnych namiętności porwały ich za sobą i powiodły na scenę nadzwyczajnych wypadków.

Anglik zaznacza znowu prosty fakt, nie przeciwstawiając mu bynajmniej znaczącego w historii dzisiejszych czasów pytania, czy zatem godzi się powtarzać za innemi owe zdanie, ubijać się zaczynające, że czas poezji przeminął, że poeci są nie potrzebni dziś na świecie, bo ich działalność nie byłaby wpływową, i massy właśnie, ani by chciały słuchać, ani by zdołałyby zrozumieć ich głosu. Nie, stokroć nie... Ludzkość potrzebuje i potrzebować będzie po wieki wieków ideału wyższego niż życie codzienne, codzienne jego nędze i pragnienia. Miejsce poety w społeczeństwie nigdy przez nikogo innego zajętem nie zostanie, a gdy stoi opróżnione, społeczeństwo cierpi, tęskni, ogłada się do koła i w braku, który je trapi, chwytą się czegoś, czem sądzi, że zdoła braków zastąpić. Idealność ducha ludzkiego jest jak tenże duch nieśmiertelny, ludzkość nosi ją w sobie i nigdy nie zatraci jej w zupełności.

Kingsley w uboczny niejako sposób dowodzi potrzeby wyższych utworów literackich, niż powieści czy szalone, czy spokojne. Nie wszyscy—pisze—chcą je czytać, nie wszystkim starczyć może powieść, czyli w ogóle fikcyi literacka odtwarzająca życie po-

wszednie. Powieść jest jak zwierciadło, w którym—jeżeli jest złe—oglądamy oblicze nasze w karykaturze, zeszczone, sponiewierane, wykrzywione spazmem niskich i brzydkich namiętności. Dobre zwierciadło przedstawia ludzi wiernie i jeżeli autor wybiera do tego odbicia postacie szlachetne i piękne przez zacność i cnotę wyższą, więc pociągające do siebie sympatycznie, może pokazywać je jako wzory dobre pocziwego żywota. Ale najlepsza powieść nie zdoła nam dać czego pragną ci właśnie, którzy mają zadosyć teraźniejszości, którzy nie są radzi oglądać podobnych do siebie twarzy, czytać opisu takiego, jak ich życia, cnót i wad, jakich jest pełno do koła i po badanie których nie trzeba sięgać do książek. „Są tacy—pisze Kingsley—których własne ich osobistości nie zadawalniają i nie cieszą, którzy się zbyt znudzi samymi sobą, aby pragnęli jeszcze historii własnych losów, odtworzonej pod przebraniami nazwiskami.

Chcą zatem usłyszeć o ludziach innych, o istotach szlachetniejszych, mocniejszych, wyżej obdarowanych, którzy są sprawiedliwsi, lepsi, czystszy. Są ludzie którzy tęsknią do bohaterów i chcieliby ich głos usłyszeć, ludzie pragnący się spotkać z heroicznym czynem, aby w nim skąpać dusze jak w źródle czystej wody i czuć się potem, choćby przez godzinę—przetworzoną, szlachetniejszą istotą.

Anglik przyzywa w ten sposób poetów, woła o wielkie dzieła nieśmiertelne z ideałami wyższymi, niż codzienność i jej drobne obowiązki, przecież pragnąc być dobrze zrozumianym, tłumaczy najpierw wyraz którego znaczenie musi być postawione jasno. Co znaczy bohater i bohaterstwo? Co znaczył u swego źródła, to jest w języku greckim: heroj, czyn heroiczny, heroizm?“

— „Są to—odpowiada—wyrazy malujące to fazy natury ludzkiej, do których w zasadzie może się wznieść człowiek każdy, których objaw jest przecież objawem najwyższej piękności, wzbudzającej cześć i miłość w każdej piersi człowieka, jeżeli tylko nie jest zezwierzęcony przez nadużycie, lub zniechęcony przez świat ciężący nad nim, który go w nędzy

życiowego deptaka start jako osobistość i zrobił tylko bierną maszyną żywą.

Więc zbadajmy najpierw dobrze i w całej rozciągłości, co znaczy określenie rzeczy, o którą nam chodzi. Doskonałe zrozumienie używanych przez nas wyrazów, nie jest mało znaczącą rzeczą. W życiu, aby było sprawiedliwie uczciwie, trzeba wiedzieć co do nas mówią i również ma to dla nas znaczenie najwyższe, aby wiedzieliśmy, co mówimy. Możemy z tego powodu płakać gorzko, że nas nie pojmują, możemy na odwrót nie pojmować i nienawidzić, a nawet prześladować bliźnich naszych przez brak porozumienia się właściwego. Aby we własnym umyśle naszym była zgoda, a w uczuciach pokój, trzeba nam mieć na każde pojęcie nasze wyraz gotowy i rzecz dobrze określający. Już Sokrates dowodził młodzieży Ateńskiej, że gruntem wszelkiej wiedzy istotnej, jest zrozumienie dokładne wyrazów, używanych w mowie bliźnich naszych, a Sokrates był wielkim mędrcem, bo umiał żyć dobrze i umrzeć pięknie, to jest umiał żyć i umierać, dając świadectwo prawdzie, czyli doszedł do tego najwyższego szczytu mądrości ludzkiej, jaką człowiek osiągnąć może. Chcąc zatem iść drogą wskazaną przez niego, trzeba nam zrozumieć najpierw znaczenie wyrazu, mającego określać rzecz, którą rozbiierać chcemy.

Przez bohaterów lub bohaterki Grecy z homerycznych czasów rozumieli męża, lub niewiasty bogom podobne i to podobieństwo wznosiło ich ponad zwykłych ludzi. Bohaterowie mieli coś z natury bóstwa i pochodzili z rodu bogów; bogowie, bohaterzy i ludzie, to były trzy racjonalne podziały istot, obdarzonych nieśmiertelnym duchem. Zatem pierwsze pojęcie bohatera wykladało się przez człowieka bóstwu podobnego, a przy coraz wyższym pojęciu boskości jakżeż rozmaite formy szlachetności słowo to określać mogło, jak podnosiło się w umyśle ludzkim do coraz wyższej czystości. To głębokie uwielbienie piękności form, które uczyniło Greków mistrzami rzeźby, sprawić musiało, że przedewszystkiem odzielili swych bohaterów pięknnością i siłą nadludzką, moralną zaś ich strona była zawsze taką, jakim w danej chwili był etyczny ideał narodu, bohaterowie bowiem, jako z bogów idący, musieli przedstawiać w ludzkości najlepszą.

Jakież przecież były nieodzowne bohaterów przymioty? Bohater powinien być naturalnie być goręcej niż pospolici ludzie przejęty szacunkiem i miłością dla bogów, którym był blizkim i których obecności używał już w ziemskim bycie. Mógł przecież grzeszyć niekiedy przeciw tym wysokim mocom niebi skim, mógł utracić ich łaskę przez samowolę i pychę, mógł jak Ajaks szaleć z zazdrości zbuntowanego przeciw bogom ducha, ale musiał pozostać wierny swej dostojności bohatera: musiał być sprawiedliwym i panującym nad sobą przez siłę woli hartowanej, musiał posiadać niepospolitą ducha podniosłość i przymiot ten wysoce szanować w innych, przez uszanowanie go w sobie samym. Głównie przecież, chcąc osiągnąć najwyższego pierwowzoru bohatera, należało mu mieć w sobie instykt użyteczności, instykt czynienia dobrze. Niewypowiedzanie też szlachetne i w poetycznej swej piękności wysokie są te stare legendy, w których bohaterowie stają przed oczyma ludzkości jako pogromcy złego, i przez znoje, trudy cierpienia prób wielkich walczą z niem, oczyszczając ziemię z potworów, wybawiają ludzkość przelekką od klęsk i uciemięczenia. Tezeusz poświęcający się na zapasy z Minotaurom dla oswobodzenia Ateńskiej swej ojczyzny od srogiego haraczu dziewic i młodzieńców, na pożarcie kretenskiemu potworowi corocznie wydawanych: Perseusz zabijający Gorgonę i uwalnający Andromedę ze skały; Herakles dokonywający dwunastu prac olbrzymich, zawsze zwycięzki w walkach ze straszliwymi złowrogami—wszystko to postacie, których bosko piękna podniosłość ducha przenikała nie tylko umysł poetów i artystów, ale uszlachetniała masę ludu greckiego i rozwijała podniosłość gieniusz jego przyrodzony. Co więcej, powiedzić można że te to mity, bajki stare uszlachetniły następnie serce Europy, gdy w wieku odrodzenia sztuki wystąpiły znowu z pod gruzów przeszłości, łącząc się z żywiołem rycerskim. Duch chrześcijański tego rycerstwa nie tu sprzecznego sobie nie znajdował, a raczej dopełniał się i zyskiwał na pewnej równowadze ludzkiej, gdy pępek powiew klasztornej ascetyzmu zaczął surowością swoją naciskać instykt poetycznej piękna i wesołej życia pogody.

Co jednak jest przyczyną, że te legendy zamierzają przeszłości, mity ludu politycznie znikłego, sny, które nie miały może nigdy rzeczywistego życia ziemskiego — ciała, znalazły sobie zadziwiającą nieśmiertelność takiego ducha, który przez wieki umie przemawiać do wszystkich dusz szlachetnych w ludzkości całej i przemawiać będzie długo jeszcze po nas do pokoleń, które przyjdzie mają? Przyczyna tego leży w tem, że jakkolwiek zaćmiona i już mniej jasna tkwi tam niemniej dotąd boska idea poświęcenia. Poświęcenie stoi tam na piedestale uwielbienia jako najwyższa faza doskonałości ludzkiej: najwyższy obowiązek i najwyższa radość istoty takiej, która się chce wynieść nad tłum pospolitej i osiągnąć tego ideału najlepszości, który już niebios tyka. Dobroczynne poświęcanie własnej osoby swojej na korzyść dobra ogółu ludzkiego, to stopnie które tam prowadzi.

Zatem prawdziwe bohaterstwo musi w sobie zawierać poświęcenie i oto jest dziedzina takich kreacji literackich, których ogół potrzebować będzie zawsze dla wyższych swoich potrzeb duchowych.

(Dokończenie nastąpi).

KRÓLOWA NOFREARI

(ze świstków Sylena).

Niczem jest niebo, gdy się stoczy
W błękitnych wód obszary,
Jak były szafirowe oczy
Królowej Nofreari!

Przed spojrzeń ich świetlaną siłą,
Kiedy je w dal wysła,
Niebo się wstydem rumieniło —
Z gniewu się ton marszczyła.

Więc gdy jej wszędzie z tą urodą
Niezmierna była chwała,
Pragnęła zawsze umrzeć młodo...
I stało się jak chciała.

Lecz ani w Tebach spocząć życzy
W stubramnych, ni w Memfisie;
Tylko w ustroni tajemniczej,
Gdzie w skoki mknąć tygrysie,

Ponad piaszczystych wydm posuchą
Skrada się Simun błądy,
Pomiędzy dwa, szumiące głucho
Nilowe wodospady.

Podczas gdy w dali, rwiste fale
Ślą w przestrzeń wieszczę słowa,
Cichy tam Speos, wklęsły w skalę,
W słonecznych mgłach się chowa...

Tam to królowa ślub uczyni,
Wysypiać sen swój złoty;
Bowiem lud zdawna w tej świątyni
Nieznane cześć tęsknoty.

W niej, ze stron obu, stał u ściany,
Kiedy drzwi odemknęto,
Sfinks wiekuiście zadumany,
Z piersią westchnieniem wzdęta.

A w głębi, niby na dwie strony
Graniczny słup u miedzy,
Z palcem na ustach, rozjaśniony
Bóg zagrobowej wiedzy...

Tam kiedy weszła, myśl skrzydlata
Dziwnie jej twarz uswieci —

Bowiem nie czuła już do świata,
Ni żalu ani chęci.

Więc jako brzmieniem strun lutnisty
Powietrze płynąc wzdycha,
Ona w w swej szacie powłoczystej,
Poważna szła i cicha.

I tylko zdjęła u zwierciadła
Przepaskę złotą z głowy —
Poczem się senna, drząc, układa
W sarkofag porfirowy.

W miarę jak duch w niej, więzy ciała
Zdejmuje z siebie, marzy,
Stopniowo błądłość osiadała
Na ustach jej i twarzy.

A gdy się błękit, w wód przezroczy,
W brzask już przetapiał szary,
Przymknęła szafirowe oczy
Królowa Nofreari. —

Felicyan.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Ani stary i stara, ani doktor i doktorowa, ani Aleksander, małżonka jego i dzieci, ani Elenka, ani Stojan nawet, nie domyślali się niczego, rozchodząc się z wieczora na spoczynek. Doktor był w humorze, który nazywają „złotym“, otrzymał bowiem właśnie od mister Waytona, odbywającego — jak się wyrażał — rekolekcyje w Galaczu, list humorystyczny, pełen postrzeżeń dowcipnych i uwag trafnych, tyczących się próżności Wołochów, i list ten doczytał głośno i przetłumaczył. Z tego wywiązała się rozmowa o mister Waytonie. Staremu Szumlańskiemu wydało się nie zupełnie jasnym życie człowieka, pędzącego czas na przenoszeniu się z miejsca na miejsce. Doktor starał się go usprawiedliwić:

— Człowiek — powiadał — ażeby mu życie porządnie szło, potrzebuje wagi, jak zegar.

— A czemuż on sobie wagi nie zawiesił! — odparł stary. Toć to chyba od niego samego zależy.

Stary miał rację. Usprawiedliwienie było trudne i doktor też nie kusił się o takowe, a natomiast pokusił się o przerwanie rozmowy, brzemiennej nagana dla jego przyjaciela. Szukał w myśli przedmiotu, na któryby rozmowę zwrócił. Rzucił przypadkiem okiem na Elenkę i dostrzegł, że oblicze jej było całe w płomieniach.

— A tobie co?... — zapytał.

Dziewczyna do fartucha i twarz zasłoniła.

— Powiedziała: od gorąca, ale temperatura jest całkiem normalna.

— At — machnął stary ręką. Głęboko byś musiał myśleć, chcąc odgadnąć, od czego się dziewczęta rumienia.

Elenka jednak nie zarumieniła się bez przyczyny, ta zaś była taką. Kiedy wspomniano o zegarze i waga, to jej się wyobraziło, że mister Wayton jest zegarem, a ona wagą; zegar wisi na ścianie a waga trzyma się go i słucha jak wahadło wydaje odgłos tyk tak. Zrobiło jej się gorąco. Płomienie na twarzy uderzyły. W chwili tej doktor na nią spojrział.

Rumieniec Elenki stał się przedmiotem żartów i prytyczek, które śmiech wzbudziły. Śmiały się ojciec, śmiała się matka, w wesołości ogólnej udział wzięli bracia, szwagier, siostra; bratowa. Stojan zna-

laż wypadek podobny we wspomnieniach pobytu swego w Bukareszcie na naukach, i przy okazji tej powiedzieć nie omieszkął, że się we trzy lata wszystkiego wyuczył. Na to odpowiedział mu Aleksander. Znow śmiech. Wieczór upłynął wesoło. Członkowie rodziny spać się rozeszli. I spali spokojnie, cicho, aż nad ranem....

Najpierwsza obudziła się stara, rękę wyciągnęła i starego szarpnęła.

— Ha ha! — krzyknął rozbudzony nagle ze snu.

— Czy słyszysz?..

— Co?..

— O!..

Gwałtowne kołatanie do bramy uwolniło starą od odpowiedzi!

— Któs się dobywa...

— Któżby to?..

Stary świecę zapalił i szukać zaczął przy sobie odzieży, którąby się okrył i na zwiady wyszedł.

Taka sama rozmowa, w tej-że samej prawie chwili, odbyła się pomiędzy Aleksandrem a Aleksandrową i doktorem a doktorową, z tą jedynie różnicą, że doktor, na zapytanie „któżby to?“, odpowiedział:

— Któs zapewne zachorował nagle i pomocy śpiesznej potrzebuje.

Począł się więc prędko odziewać, a odziewając się, usłyszał ruch w domu i głos Aleksandra odpowiadającego ojcu.

— Aleksander otworzy, a ja się tymczasem ogarnę.

Odziewał się, aż tu obito się o uszy jego szczykane oręza.

Doktorowa z łóżka wyskoczyła niby miną wysadzona.

— To nie do chorego!.. — zawołała.

— Cóż to znaczy?..

— Nie wiem. Szkoła moja!..

— Czyżby? Cóżby to był za sens, w nocy na szkołę napadać!..

— Tak — rzekła kobieta po chwili zastanowienia. Stoły porożstawiane, ławki pousuwane, szkoły śladu nie ma. A więc... a więc... coś to innego.

W ostatnich wyrazach brzmiał akcent uspokojenia. Doktor ubierał się bez pośpiechu pierwotnego. Doktorowa także zarzucała na siebie odzież, jeżeli nie na co innego, to na to, żeby cofnąć się do tej części domu, która kobietom, na wypadek wszelki, przewidziany i nieprzewidziany, za schron służyła i która wyprowadzała drzwiczkami i przejściami krytymi na ogród a z ogrodu dalej, w upatrzone z góry schowanki. Domy bułgarskie wszystkie są tak budowane. Daje to miarę bezpieczeństwa osobistego, panującego pod skrzydłami opieki ottomańskiej.

Podczas, kiedy się doktorstwo odziewali, szczyk orężny rozbijał się niejako i towarzyszyć mu począł gwar mowy ludzkiej. Zrazu wyrazów zachwycić nie było można. Z czasem jednak ucho się oswoiło i do słuchu doktorstwa dochodziły zapytania jakiegoś, spokojnie wygłaszane i odpowiedzi na takowe prawie krzyżane.

— Hekim-baszi!.. zięć mój!.. — brzmiała odpowiedź pierwsza, dana głosem starego Szumlańskiego. Ja niewiem!.. Ja o niczem nie wiem!..

Nastąpiło ciche zapytanie.

— Mój szwagier! — zawołał Aleksander Szumlański. Chyba śpi!..

Na ciche zapytanie, znow ten sam głos odpowiedział:

— Hekim-baszi udał się z wieczora na spoczynek, ale ja niewiem dokąd. Trzeba chyba poszukać.

Poczekaj tu, effendim, a ja pójde po hekim-baszi.

— To o ciebie chodzi — rzekła doktorowa z przyciskiem. Oni (to znaczy, brat i ojciec) umyślnie odpowiadają tak głośno, ażeby cię uprzedzić. Chodź! Ujęła doktora za rękę.

— Dokąd?..

— Chodź... skryjemy się...

— A tóż znów!..

— Zejdiesz Turkom z oczów... a potem.

— Co potem? Nie poczuwam się do niczego. Jakies fałszywe podejrzenia, lub nieporozumienia. Jeśli się więc skryję, to sam, dobrowolnie dam do wód przeciwko sobie. Wolę raczej stanąć oko w oko.

W chwili tej słyszeć się dał głos Stojana:

— Szwagier mój! hekim-baszi!.. Po niego przy-

chodzicie?.. ehl... Chyba ty effendim, nie wiesz tego, że on pod pieczęciami! pod pieczęciami, i to nie pod takimi tam jakimis, ale pod angielskimi!... Hekim-baszi pod pieczęciami angielskimi!.. Rozumiesz effendim?..

— Co on piecie! — mruknął doktor. Trzeba wyjść...

— I ja z tobą — podchwyciła doktorowa.

— Nie.

Spojrzał doktor żonie w oczy z wyrazem proszącym.

— Jeśli to nieporozumienie jakie, to rzecz się wyjaśni i skończy. Jeśli podejrzenie, to ty mi nie pomóżesz: a kto wie, czy nie zaszkodziś dziełu, za które odpowiedzialność na tobie spoczywa całkowicie.

Wziął ją za rękę, pocałował, złożył jej pocałunek na czole, do piersi ją przycisnął i wyszedł.

Uczył to w chwili najwłaściwszej, w momencie w którym mudir — on to bowiem najściu przewodniczył — wydawał już rozkazy, mające na celu wykonanie w domu Szumlańskiego ściślej rewizji.

— A! — zawołał mudir ujrawszy doktora.

Odwolał rozkazy rewizji się dotyczące; dał znak i w jedno oka mgnienie dwa zaptje poskoczyli i obok doktora jeden z jednej drugi z drugiej strony stanęli.

Stary Szumlański, Aleksander i Stojan głowy smutnie spuścili, a co który na doktora spojrzął, to w oczach jego czytać się dawał wyrzut: czemuś się nie schronił! miałeś czas!..

Mudir zachowywał się poważnie, spokojnie i grzecznie.

— Byłbym cię znalazł! — powiadał — chociażbyś się pod ziemią ukrył.

— Ja się ukrywać wcale nie myślałem — odparł doktor.

— To dobrze, byłbym cię bowiem znalazł, gdyż to co robie, robie nie z ochoty własnej a na rozkaz paszy z Ruszczuku, którego wolą jest, ażebyś się przed nim stawiał.

— Trzebaż było o tej woli paszy, uwiadomić mnie tylko, a byłbym się sam postarał uczynić jej zadość jaknajśpieszniej.

— A ba!.. Nie o to tylko chodzi. Pasza rozkazuje jeszcze, ażebyś zabrał pieczęcie i ażeby uregulować twoją pozycję.

— Nie rozumiem.

— Hm. Spodziewać się było można, że tak odpowiesz.

— Co za pieczęcie? W jakim-względnie nastąpić ma uregulowanie pozycji?

Mudir skinął ku niemu ręką, dając mu do zrozumienia, że jak zapytał tak objaśnienie jego nie potrzebuje, a nakazawszy zaptjom, ażeby go nie odstępowali, wziął ze sobą ludzi dwóch z latarniami (było bowiem jeszcze ciemno) i udał się z nimi pod szopę. Pod szopą, na kupe zwalone, paki stały jeszcze. Kazał przewrócić jedną znakami do góry, przypatrywał się, usta krzywił, głową kiwał, nosem czmychał. Kazał przewrócić drugą — ta go bardziej jeszcze zastanawiała. Toż trzecia, czwarta, piąta — każda wzbudzała w nim pewien rodzaj zadziwienia poważnego, nacechowanego godnością urzędową. Pak było ośm.

— Zabrać to — rzekł i na harabach upakować, tylko ostrożnie, żeby się pieczęcie przez drogę nie pokuszkadzały.

Powrócił do doktora i tak do niego przemówił:

— Nie chciałem od ciebie zaczynać, żeby cię bez potrzeby nie męczyć. Teraz jednak kolej na ciebie — a zwracając się do zaptjów, zapytał: sznury są?

— Są — odparł jeden i naprzód się wysunął.

— Zwiążcież go, ale tak żeby palcem nie ruszył.

— Na cóż wiązać? — zaprotestował teś najpierwszy głosem błagalnym.

Do protestu tego przyłączyli się Aleksander i Stojan.

— Effendim, nie czyn nam wstydu tego.

Mudir milczał.

— On ma tu żonę. On ma aptekę. Nie jest to żaden betiar. Ma majątek, którego nie odbiegnie.

Mudir milczał.

— My za niego majątkami naszymi, osobami i głowami odpowiadać się podejmujemy.

Mudir milczał.

— Nie każ mnie wiązać, effendim — odezwał się doktor. Dodaj mi straż liczniejszą, którą ja na własne wezmę utrzymanie, póki tego będzie potrzeba.

— Nie mogę — odparł mudir, popierając wyrazy

giestem odpowiednim. Rozkaz paszy wyraźny... nie złamię go, chociażbyście mi górę złota dawali.

Nalegania, prosby, błagania, przedstawienia żadne, najmniejszego nie odnosiły skutku. Sprowadzały tylko zwiczkę, która się nakoniec i doktorowi samemu wydała bezużyteczną. Odezwał się więc do swoich:

Jeżeli taki rozkaz, to niechże się spełni. Im prędzej, tem lepiej. Rychlej się zacznie, rychlej się skończy.

Podał ręce, zaptje z powrozami przystąpili, stary Szumlański zawołał:

— Wstrzymajcie się! Effendim, słówko jeszcze. Zatrzymaj zięcia mego pod ściśłą wartą, nie wiążąc go, aż ja nowy rozkaz przywiozę z Ruszczuku. Jadę natychmiast. Jutro w nocy powrócę.

— Olmas — była odpowiedź mudira. Rozkaz wyraźny... niema co... e! — skinął na zaptjów — regulujcie mu pozycję.

Stało się. Biedny doktor, literalnie, obwinęty został powrozami. Jedyne ustępstwo, jakiego mudir dopuścił, było to, że harabę, na którą go włożono, pozwolił wystać poduszki i wyłożyć materacami. Pozwolił oraz Stojanowi, towarzyszyć szwagrowi. Były to ustępstwa bardzo ważne, oszczędziły one wielkich doktorowi przykrości. Haraby, otoczone wartą orężną, ruszyły, pod przewodnictwem jusbasy który wiozł w zanadrzu raport do paszy i miał udzielone sobie instrukcje szczegółowe, co do sposobu, w jaki ma spełnić rozkaz, tak we względzie doktora jak we względzie pieczęci. Na harabie, na której leżał doktor, obok woźnicy siedział Stojan.

Kobiety całej tej sceny świadkami nie były. Ukryte w tylnych domu częściach, w pogotowiu uciekać dalej, gdyby się potrzeba okazała, czekały końca. Gdy się uciszyło, wyszły z ukrycia, a gdy się dowiedziały o tem, co zaszło, najpierwsza stara Szumlańska w dłonie klasnęła, rękę załamała i w lament uderzyła; za jej przykładem poszła Aleksandrowa, tej zaś zawtórowała Elenka. Doktorowa na chwilę osłupiała. Następnie ręce i oczy wzniosła do góry, westchnieniem tem ból w sobie przełamała.

— Matko, siostry, nie płaczcie. Co płacz nada?.. W położeniu naszym żyzy niewiastom nawet nie przystoją.

— Ach!... ach! — wywoływały kobiety.

— I cóż to? Czas stracony. Strata czasu większą szkodę przynosi, aniżeli ubytek ludzi. Ludzie ludzi zastąpią, czasu nie wynadgrodzi nie. Co my przez to Manuakiemu pomożemy, że dzień, drugi i trzeci będziemy lamentowały? Matko, siostry, utulcie żal, stłumcie go w sobie, jak ja go tłumię... ja, co Manuakię kocham nad życie!..

Słowa ostatnie skutek odniosły. Kobiety uspokajać się poczęły. Wówczas doktorowa zwróciła się z zapytaniem do ojca i brata:

— Czy jest tu kto, kogoby można natychmiast do Szumli posłać?..

— Ja, odpowiedział Aleksander.

— Napiszę słów kilka, które potrzeba telegrafem przesłać.

— Pisz... odniosę i wyprawię.

Doktorowa oddaliła się na chwilę i powróciła, trzymając w ręku papier złożony, który Aleksandrowi wręczyła.

W pół godziny niespełna, w domu starego Szumlańskiego wszystko powróciło do trybu zwyczajnego, z tą jedynie zmianą, że chorzy odchodzili bez porady. Dzieci jednak nie doznały tego zawodu. Te zeszły się o zwykłej godzinie i zastały nauczycielkę swoją na zwykłym miejscu. Przedmiotem wykładu był system słoneczny. Doktorowa, jakby nie nie zaszło, z całą umysłu swobodą, tłumaczyła prawa układu świata zastosowując tłumaczenie swoje do dziecinnych pojęć, i tłumaczyć nie przestała, aż wszystkie dokładnie zrozumiały. Lekcja ta może lepszą była od innych, pod względem staranności i gorliwości, jakich doktorowa dołożyła. Elenka, z boku na nią patrząc, podziwiała hart jej duszy.

— Jak ty możesz, Marico! jak możesz! — mówiła.

— To zemsta moja.

— Nad kim?

— Nad Turkami. Powiem to Manuakiemu, jeżeli go zobaczę kiedy (tu głęboko westchnęła). Będzie kontent ze mnie.

XIV.

Omyłki i nieporozumienia.

Sefer pasza odczytał raport mudira z Zarnicy raz drugi i trzeci i sprawy sobie z niego dokładnej zdać nie umiał. Pamiętał swój rozkaz, wiedział więc, że o doktora chodziło i z raportu dowiadywał się, że doktor dostawiony, że się znajduje w Ruszczuku, wraz z pieczęciami i w pozycyi uregulowanej.

— Tfu — splunął zlekka.

Znał on podwładnych swoich i domyślał się nie-dorzeczności jakiej, której wyjaśnienia oczekiwał z ust jusbaszi, wymienionego w raporcie w funkcyi naczelnika konwoju, czuwającego nad doktorem i pieczęciami.

Rozporządzenia ministeryalne wiązały go, w sprawach bułgarskich, z komisarzem nadzwyczajnym który bez niego wiedziałby o sprawach tych tyle, co o sposobie, w jaki czas pędzą mieszkańcy na księżycu. Tem bardziej przeto poczuwał się do powinności, wzywać Zia paszę, ile razy zdarzyło się coś mającego ze sprawą bułgarską styczność bezpośrednią. Posłał więc po niego przed godziną audyencyonalną.

Zia pasza przybył zaspany.

Zia pasza pędził w Ruszczuku żywot, który na krótką zasługuje wzmiankę. Pełnił on, jak wiemy, funkcyę komisarza nadzwyczajnego wysokiej porty, wysłanego w celu rozpoznania na gruncie sprawy bułgarskiej i przedstawienia sposobów jej załatwienia. Obok Sefera paszy, był to drugi grzyb w barszczu, z tą atoli różnicą, że o ile tamten miał zajęcia dużo, o tyle ten nie miał do czynienia. Zadanie jego główne stanowiło rozpoznawanie. Jakże rozpoznawać miał? Mógł-że on, *ferik* (generał dywizyi), dostojnik wysoki, szukać sprawy bułgarskiej chodząc za nią po kraju? Nie zgadzało to się z godnością jego, którą uważał za wyższą nad sprawę, oczekiwał przeto aż ta sama przyjdzie do niego i poznać się mu da. Pędził więc czas na oczekiwaniu, które—jak poeci twierdzą—„godziny ukraca“. Sympiał doskonale, karmił się wybornie i zabawiał się wystrzygiwaniem kopert, w czem do niepospolitej doszedł doskonałości. W godzinach urzędowych—i on bowiem posłuchania dawał—nie widywało go inaczej, jak z nożycami w ręku wykrawającego od niechcenia, z arkuszy białego papieru koperty listowe wielkości różnej i kształtu najrozmaitszego. Robił to od ręki, a ze zrzecznością taką, że z pod maszyny wyjść by nie mogły koperty zgrabniejsze i dokładniej zakładające się. Zatrudnienie to nie przeszkadzało mu toczyć rozmów z gośćmi, na których nigdy nie zbywa ludziom zajmującym stanowiska wysokie i pobierającym pensye wielkie. Dodać potrzeba, że Zia pasza nie był to człowiek bez wartości pewnej. Posiadał on i spryt i pewną dozę daru postrzegawczego, które osłaniał słodyczą układu, znał przytem parę obcych języków i wiedział jak z kim mówić. Miał też i agentów w sprawie bułgarskiej, rekrutujących się pomiędzy t. z. „Madżarami“, o których wyżej wspominałem. Ci prawili mu duby smalone i w tem właśnie dar jego postrzegawczy objaśniał się najlepiej, że pozwalał im mówić wszystko, nie wierząc niczemu.

Wezwanie Sefera paszy spadło na niego w chwili kiedy, wydobywszy się powoli z objęć snu słodkiego, przeniósł osobę swoją z pościeli na dywan, posadził ją miękko i w negliżu porannym, dodrzemywał czuwając, przejęty poczuć tego upojenia rozkosznego, które jest właściwością podobnego stanu. Popłukał usta wodą różaną i rozmyślał nad tem, jakiego rodzaju *tatly* (konfiturą) rozpocząć ma dzień. Wschodniowcy mają zwyczaj, dzień każdy rozpoczynać od konfitur wodą świeżą zapijanych, poczem następuje kawa czarna i nargile. Rozmyślał więc i wahał się, lubując się przedsmakiem róż, jaśminu, malin, ananasów—co wybrać? Pachniała mu z góry mokka; owiewała go zawczasu woń tumbeki; oddychał głęboko, sapał, nadymał się i wyciągał, gdy mu oznajmiono adjutanta od Sefera paszy z pilnym interesem.

Skrzywił się, jakby gorzką połknął pigułkę.

Skrzywił się mocniej jeszcze, gdy mu adjutant zakomunikował wezwanie wielkorządcy.

Kazał się ubierać natychmiast. Służba poskoczyła: ten z koszulą, ów z krawatką, inny z kamizelką; jedni go myli, drudzy obcierali; osoba jego przecho-

dziła z rąk do rąk, aż okryta została od stóp do głowy odpowiednią każdej części ciała odzieżą. Służba od ubierania usunęła się i miejsce jej zajęła inna: jeden niósł tacę z konfiturami i wodą, drugi tacę z kawą, trzeci nargile. Zia pasza westchnął—z żalu zapewne za rozbitem porankiem marzeniem—połknął łyżeczkę konfitur pierwszych lepszych, popił wodą, wypił emoktając naprędce kawę i kazał sobie podać papieros. Zaciągnął się raz i drugi; z papierosem w ręku wyszedł na czerdat, przed którym czekał na niego koń osiodłany, zaciągnął się raz jeszcze, papieros cisnął i na koń wsiadł.

Nie dziw przeto, że, gdy przed Seferem paszą stanął, znać jeszcze na nim było zaspanie.

Paszwie powitali się i pozdrowili stosownie do wymóg etykiety tureckiej.

Sefer pasza rozmowę zaczął pierwszy.

— Przypominasz sobie, effendim, ów memoryał z Zarnicy, tytujący się doktora tamecznego?

— Effendim—odparł zapytany z gościem potwierdzającym.

— Doktor w Ruszczuku, a oto raport mudira.

To mówiąc, podał Zia paszy papier napisany. Ten przebiegł go oczami w milczeniu.

— Cóż?...

— Nie rozumiem pieczęci i pozycyi uregulowanej....

— Ani ja tego nie rozumiem. Niebawem jednak rozwiąże się nam zagadka. Chcę, ponieważ jest to twoją effendim rzeczą, ażebyś był świadkiem rozmowy, jaką będę miał z doktorem tym, który mi się wydaje mocno podejrzanym.

— O co?...—odezwał się Zia pasza niby niechcący.

— O to...

Sefer pasza palcem sobie na czoło pokazał i na Zia paszę wyraziście spojrzął.

W dłoń klasnął.

Wpadł adjutant dyżurny.

— Jest tu jusbaszi z Zarnicy?...

— Czeka na rozkazy twoje, effendim.

— Niech przyjdzie...

Za chwilę wsunął się jusbaszi—człowiek wieku średniego, suchy, głowa naprzód wyciągnięta, szyja długa, z kosmykiem włosów wysuwającym się mu na czoło z pod feza, spodnie krótkie, rękawy od mundury krótkie, na piersiach ryngraf, przy boku szabla na haczyk założona.

— Tyś przywiózł hekim baszi Bułgara z Zarnicy.

— Ewet, effendim—odpowiedział zapytany, podnosząc palce do czoła.

— Gdzie on?...

— W *apsie* (więzieniu).

— Któż ci, ośle, do apsu go kazał prowadzić?...

Na zapytanie to jusbaszi wzrok na paszę powoli podniósł i gębę otworzył.

— Wydobyc go z *apsu* natychmiast i tu mi go dostawić!...

Jusbaszi zwrócił się, w celu wykonania rozkazu, lecz się wnet odwrócił i w Sefera paszę wzrok wlepił.

— No?...

— Czy dostawić z nim razem i pieczęcie?...

— I pieczęcie!...

— Idź precz i rozkaz mój wypełń!... — rzekł pasza z gniewnym przyciskiem.

Jusbaszi, czlapając pantoflami, wygięty naprzód, jakby na przeciw wiatru podązał, pośpieszył do więzienia, w którym doktor od wczorajszego przebywał wieczora, spędziwszy noc w męczarniach prawdziwych. W podróży, na otwartym powietrzu, dzięki czuwaniu troskliwemu, jakim go otaczał Stojan, znosił przykrość położenia swego jako tako. W więzieniu jednak dostał się pod zarząd więzienny, praktykowany w Turcyi w sposób jaknajbardziej nie-ludzki. Zniesiono go, rzucono na podłogę wilgotną i zostawiono wśród towarzyszy, dobranych, ale nie dla niego. Szczęściem towarzysze spali; nieszczęściem atoli nie spały zwierzątka różne, drobne a dokuczliwe, od których mało który z domów porządnym i zamożnym wolnym jest na wschodzie, a nie dopiero w więzieniu. Doktor więc opadniętym został przez tych wrogów rodzaju człowieczego, a nie mogąc się ruszyć, stał się ich pastwą. Jedne parzyły, drugie gryzły, trzecie łażyły, od czasu do czasu przebiegały po nim zwierzęta większe, były to myszy i szczury, lub też przesuwało się chłodne jakieś ciało, w którym się weża domyslać było można. W takich torturach spędził noc, oddychając powietrzem wilgotnem i zgniłym. Oka nie zmrużył.

Szarpał się i rzucał, od czego mu się powrozy w ciało powpijały. Czuł ból w członku każdym, każdym muszkule i dnia czekał, jak zbawienia, przypuszczając, nie bez racyi, że przy świetle dziennem część męczarni ustąpi.

Dzień zawiątał nareszcie. Część męczarni ustąpiła rzeczywiście. Ujrzał oblicza ludzkie.

Co za oblicza!

Jeden co się najpierwszy obudził, przeszedł się po izbie więziennej, pobrzękując kajdanami, stanął nad nim i nęga go potracił.

Doktor jęknął.

— E... Ty żyjesz... To dobrze... A czemu cię tak spowito?...

— Spowito—odparł doktor.

Cóż mógł innego powiedzieć!

— Musiałeś ty, gołąbku, dobrze się zasłużyć!...

— Ja nie wiem o niczem.

— Hi ha!... Tak się mówi przed agą, przed kadm ale nie przed towarzyszem. Tu my *kardasze*, jeden dla drugiego sekretów nie mamy. Ja, naprzykład, ja z puszki pociągałem... i dałem się ująć, jak głupiec ostatni. No, a ty?...

— Ja puszki, w życiu swoim, w ręku nie miałem.

W chwili tej budzić się poczęli inni, wstawali, podchodzili do doktora, przypatrywali się mu i dziwili, czyniąc nad związaniem jego postrzeżenia i uwagi różne.

Stróż więzienny przyniósł wody i chleba czarnego. Doktora pragnienie z nocy jeszcze paliło. Zawołał:

— Wody!...

— A oto masz—odpowiedział stróż na dzban palcem ukazując.

I wyszedł.

— Może się kto zlituje nademną—odezwał się męczennik.

Na prośbę tę odpowiedział śmiech gruby, wydobywający się z ust kilkorga, zapchanych chlebem łapczywie pożeranym.

— Wody... kropelkę.

— Wywal język, to ci kropelkę nań spuszcze—odparł jeden z towarzystwa.

Powiedzenie to wydało się innym żartem tak dowcipnym, że uczynili z niego punkt wychodni żartów mnóstwa, któremi doktora obsypali.

A ciało jego i kości ból łamał i przenikał, a pragnienie piersi paliło.

— Kiedyż to się skończy i czy skończy?... — pomyślał sobie.

I jakby w odpowiedzi na zapytanie to, zazgrzytał klucz we drzwiach, skrzypnęły zawiasy, dwóch żołnierzy z eskorty i jusbaszi weszli do więzienia. Żołnierze przynieśli ze sobą nosze z chrustu plecione. Nosze te położyli na podłodze, włożyli na nie doktora, przytroczyli go do plecena, do góry dźwignęli i wynieśli.

Odetchnął z głębi piersi biedny człowiek, męczony licha wie za co i na co, gdy go owionęło powietrze porankowe.

Niesiono go, on nie wiedział dokąd. Z wyniosłej pozycyi widzieć nie mógł, że przed nim postępował jusbaszi, a za nim ośmiu żołnierzy każdy z paką prózną na grzbiecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Karol i Joasia rosna tak razem; młody stolarz, najzdolniejszy z czeladzi p. von Damme, zostaje przez niego wysłany do Londynu. Joasia kończy swe wychowanie na pensyi w klasztorze, w okolicy Brukselli. Za powrotem stolarz znajduje wykwitłą piękną panią, starannie wychowaną i uczęszczającą do najlepszych towarzystw, które ją nie bardzo bawią. Oboje młodzi, jak dawniej, przywiązani są do siebie i nie mówią o tem, kochają się wzajemnie. Matka Joasi obawia się tego stosunku, marząc o czemś daleko świetniejszym dla córki; życzyłaby

sobie oddalenia Karola. Do aktorów wchodzi tu niejaki p. Dhermitte, adwokat, podzielający przekonania matki, czynny bardzo człowiek, starający się o Joasię dla jej posagu, z pomocą wpływu macierzyńskiego. Tymczasem Karol i Joasia zbliżają się, nie kryjąc już uczuć, jakie w ich sercach mieszkają, i gdy Dhermitte się oświadcza, a matka córkę o tem uwiadamia, znajduje niespodziany opór, Joasia wyznaje przed nią swe przywiązanie do Karola. Należy się go pozbyć z domu, wysyłają więc pod jakimś pozorem do Niemiec. Między młodemi trwa temczasem korespondencja, którą matka odkrywa, a chcąc córkę zniechęcić od nieobecne go, podsuwa jakiś dawny list, który go w fałszywym przedstawia świetle, jako przeniewiercę. Joasia więc ulega woli matki, ale na szczęście w przededniu ślubu van Damme traci majątek, a adwokat zrzeka się ręki panny, którą brał tylko dla posagu. Biedny Karol powraca, dotknięty boleśnie zdradą Joasi, pozostaje o własnych siłach i w pracy szuka zapomnienia cierpień, zakładając mały warsztat własny. Państwo von Damme usuwają się także od większego świata... W końcu jednak wyjaśnia się wszystko z pomocą krewnego Karola, młode serca wracają ku sobie i powieść wieńczy bardzo szczęśliwie wesele, jak zwykle, jeśli jej nie uwiencza ostatnim wiankiem nieśmiertelniczek — śmierć. Sucha ta treść, którą podaliśmy, służy tylko za tło do obrazów skreślonych z wielką prawdą i wziętych z najmniej znane go życia klas pracujących. Całą wartość opowiadania stanowi wykończenie jego staranne, koloryt świeży, słowem wykonanie.

Gdybyśmy potem chcieli tylko pobieżnie przejrzeć literaturę powieściową niemiecką, utonęlibyśmy w trywialnych płodach, jakimi jest zalana. Niektóre tytuły są nęcące, np. „Praca wyzwobadza“ (Die Arbeit macht frei; przez p. Lorenza Diefenbacha, ale wykonanie, to właśnie co stanowi wartość wyżej przywiedzonego opowiadania — tu jest popolite i niesmaczne. Niemcy, którym ciano jest we własnej ojczyźnie, tak, że nieustannie emigrować muszą, w powieściopisarstwie także są ciągle zmuszeni puszczać się w obce kraje, szukając czegoś nowego, w przekonaniu, że to nowe, gotowem się gdzie indziej znaleźć i nieudolność piszącego opłaca. Jest to wielkim błędem, bo treść najbogatszą nieumiejętna ręka zepsuć, a najuboższą talent na arcydzieło zmienić może.

W spisie najświeższych płodów znajdujemy amerykańskie, węgierskie, algijskie, francuskie — tylko o dobre trudno. Najbardziej uprawianym w tej chwili jest romans „kryminalny“ i policyjny (sic). Policyjny u tej klasy średniej, która się czytać uczy, bardzo jest poszukiwany i lubiany. Same tytuły tych płodów niemieckiej muzy, już nas coś nauczyć mogą. „Dama bez serca“ (romans Karola Heigela). „Fałszywa hrabina“ (powieść Edm. Hahn). „Zegarek księżnej pani“ (powieść Ew. Aug. König'a); „Romans kobiety cnotliwej“ (P. Wandy von Dunajew); „Renegat“ (Alfr. Lommatsch). „Pod nadzorem policyjnym“ (Ed. A. König). „Syn skazanego“ (König) i t. p. Żadnego z pomienionych arcydzieł, dla czytelnika stworzonych, nie śmielibyśmy polecać, ani mamy rozbiierać odwagi. Natomiast mocno byśmy zalecali biografię Dickensa, przez Forstera, która w angielskim języku jest już cała, a po niemiecku przełożono jej dwa tomy. Być może, żeśmy już o niej dawniej mówili, ale przypomnieć nie będzie grzechem. Wiele się z niej nauczyć można i z przyjemnością wielką czyta się to opowiadanie wzięte z życia, pełne prawdy, a zbliżające nas do człowieka sympatycznego i znakomitego.

Mamy też przed sobą ciekawe studium o dramatycznych pisarzach francuskich za drugiego cesarstwa, przez Adolfa Ruthenberga, które już jako sąd niemiecki na Francuzów, zająć może (Berlin, Staude 1874). Na pierwszym miejscu, dla zasług ojca, stawia autor Dumas (ur. 1824 r.), któremu najwięcej przyznaje energii i siły, a za najlepsze dzieło jego dramatyczne, znany i u nas „Półświatek“. Po nim idzie Emil Augier (ur. 1820), który sposobił się zrazu na prawnika, a w 24 latach wystąpił jako pisarz dramatyczny i zasłużył sobie na dwuznaczny przydomek „Moliera de la decadence“. Augier pod względem idei, osnucia, wzniosłości myśli, przechodzi Dumasa. Zawód jego zdaje się być skończonym, gdyż od dawna nie wydał nowego. Ostatnim dramatem był: „Le fils de Giboyer“. Niemie-

cki krytyk liczy go, zwłaszcza od roku 1855 od „Le Mariage d'Olimpe“ do realistów.

Po nim następuje, — w porządku przyjętym przez Ruthenberga — O. Feuillet (ur. 1812), członek Akademii jak Augier i jak o niedawna Dumas, znajomysz jako powieściopisarz, niż jako autor dramatyczny. Pierwszym jego znaczniejszym utworem było w roku 1860 „La tentation“, przyjęte ani źle ani dobrze, największym tryumfem „Montjoye“ (1863) komedya, której charakteru określić dobrze nie umiemy, krytyk i w realizmo-idealizmie, idealizmo-realizmie, realizmo-realizmie się wika. Miarę tę przykładają zresztą do wszystkich utworów i nie zawsze nią prawdziwą wartość, a nawet stosunkową uzyskać może.

Do realistyczno-realistycznego (sic) kierunku zalicza Teod. Barriere (ur. 1823), pisarza płodnego, którego najcenniejszym utworem były pamiętne: „Filles de marbre“ (1853). Około pięćdziesięciu sztuk Barriera grywane są we Francji, a niektóre z nich i w Niemczech, odznaczają się one jaskrawością, efektywnością, szczęśliwymi scenami i nie dosyć starannem, a pośpiesznem widocznym wykonaniem. Ruthenberg dla scharakteryzowania Barriera, porównywa go do Dumasa i Augiera — co nie wiele nam światła rzuca, na tę zresztą drugorzędną postać.

Na ostatku przychodzi Sardou (ur. w roku 1831), któremu autor wróży największą sławę i przyznaje dary największe. Sardou z początku uczył się medycyny, później przeszedł z niej do historii, — a dostał się, pod wpływem jakiejś fantazyi, do teatru, który był jego powołaniem. Pierwsza jego próba była nieszczęśliwą. Znajomość z p. Dejaset i jej rady a pomoce, wskazały mu później drogę — powodzenia.

Od roku 1861 Sardou tworzy ciągle i wszystkie jego nowe dzieła, z coraz większą wprawą i rutyną pisane, na scenie bardzo się szczęśliwie wiodą; tłumaczone są i powtarzane na wszystkich europejskich teatrach. Nie powiemy, żeby się one odznaczały oryginalnością pomysłów, a nawet faktury, ale w nich jest, dziś wielce ceniona, zrzeczność, dowcip żywy i drga w nich coś z żywota naszego pochwyconego, a uwydatnionego szczęśliwie. Niemiecki krytyk przyznaje mu niezmierną „precyzję w żywiołach realistycznych sztuk jego“ (sic), ale w talentie pokłada nadzieję, że się później wyżej wzniesie, potrafi, jeśli nie dla oklasków tłumu, ale dla wyższej idei zechce pracować!

Studjum to, z łokciem realizmu i idealizmu dokonane, zawiera niektóre szczegóły zebrane u źródeł dostępnych i sąd nie sięgający głęboko, ale przynajmniej nie tak złośliwy i uprzedzony, jaki u innych dziś o Francji piszących się spotyka.

Z nowości niemieckich na scenach, może najciekawszym byłby „Giordano Bruno“ Wilbrandta, którego grać miano na wiedeńskim teatrze, ale zaszły trudności „od dyrekcyi niezależące“ i sztuka wstrzymana została. Zdaje się, że posiedzenie sądu Inkwizycyi na scenie uznano niewłaściwym, inni przypisują wstrzymanie pobudkom wcale innego rodzaju.

Mosenthala „Syrenę“ grano także w Burgu i pomimo, że dosyć miała powodzenia, czynią jej wiele zarzutów. Rabagas'a p. Sardou z przyjemnością sposobią się grać w Berlinie i możemy mu przepowiedzieć z góry powodzenie. Zapomnieliśmy wymienić „Ciężkie czasy“ Juliusza Rosena, które się nadzwyczaj podobały w Wiedniu.

„La petite Marquise“ Meilhaca i Halevego wspominać dla tego tylko, że osnowa przypomina zrzeczną i piękną komedijkę hr. Koziebrodzkiego: „Mile złego początki...“ grana i drukowana w Krakowie. Ta jest różnica obu sztuk, że w polskiej autor z większą delikatnością przeprowadził zadanie. W obu kochankowi kobiety zameżnej, spada przedmiot miłości na ramiona, ze wszystkimi akcesoryami... i w obu kochanek cofa się przerażony zbytciem szczęścia.

DAWID LIVINGSTONE.

Bywają lata smutne, w których straty przychodzą po stratach i takim właśnie jest dla nauki czas obecny. Niemal razem ze śmiercią Agassiza, nastąpiła w Ameryce, przyszła do Europy wiadomość o śmierci Livingstona w Afryce i tym razem nie była to wieść fałszywa. Kraj tajemniczy, w który oddalił się teraz podróżnik zmęczony, już go nie odda więcej i nie pójdzie go tam odszukać żaden Janek śmiały. Śmierć zesła Livingstona, jak żołnierza wśród bitwy, umarł na stanowisku naukowem a prócz zasług które położył na tem polu, jako badacz nieznanych okolic Afryki środkowej, sam człowiek był jedną z tych postaci szlachetnych, którym należy się hołd dwójaki: tak dla czynów dokonanych, jak dla samego życia, będącego przykładem dzielności charakteru i cnot niepospolitych. Dawid Livingstone którego śmierć zasmuciła cały świat naukowy, którego nekrolog paryżkie Towarzystwo geograficzne zaczęło od słów takich: — „Ciężkie mamy czasy dla nauki w ogóle, a dla umiejętności geograficznej w szczególności...“ zaczął zawód życia jako terminator a następnie czeladnik tkacki w przedziałniach bawelny w Glasgowie. Wszystko, do czego doszedł, winien był w zupełności sobie samemu, bo wszystko zdobył sobie sam, a raczej wy dobył z głębi gieniusza własnego. Uczył się siedząc przy warsztacie: gdy ręka poruszała czołenko tkacza, oczy chętnie chwytaly ustępy książki, rozłożonej obok. Tak się uczył geografii, tak poznał historię odkryć, a grosz zbierany wśród najcięższych ofiar, miał w umyśle młodzieńca cudowne przeznaczenie takiego czarodziejskiego klucza, który w bajkach arabskich otwiera zakłete askar-bów pełne pałace. Skarbem poszukiwanym przez Livingstona była nauka, w ciężkiej pracy dziewięciu miesięcy roku zyskiwał fundusz, pozwalający mu się uczyć przez trzy miesiące pozostałe, i tak odbywał studia teologiczne, bo Livingstone prócz pragnienia nauki, miał szlachetne pragnienie wielkiego chrześcijańskiego serca — czuł powołanie misyonarza.

Urodzony w 1816 roku, pochodził on ze szlacheckiej rodziny szkockiej, z plemienia tych dzielnych i wiernych górali, którzy wytrwale stojąc przy tradycjach i ukochaniach przeszłości, długo walczyli z nowym porządkiem rzeczy i zwolna uboželi w najszlachetniejszych swych rodach. Neil Livingstone odrzucając na bok wspomnienia rodowej dumy, osiedlił się w hrabstwie Lenark, w East-Kilbride, jako nauczyciel szkółki gminnej, a nauczawszy syna wszystkiego, czego mógł nauczyć, uposażywszy go zaszczepioną głęboko religijnością, miłością cnoty i nauki, wyprawił dziesięcioletnie dziecko w świat na pracę dla chleba, nie myśląc że chłopczyk, któremu przeznaczał zawód tkacza, stanie się kiedyś człowiekiem sławnym, który przywróci nazwisku rodzinnemu blask utracony. Godłem herbownem Livingstonów było: Bądź zadowolony!... i pachole wychodzące z domu ojcowskiego już znało jego sens moralny, wiedziało, że być zany, znaczy przede wszystkim nie być samolubnym, i Dawid Livingstone zapisał później sam we wspomnieniach dzieciństwa, że do ciężkiej boleści rozstania się z rodziną mieszało się żywe uczucie szczęścia, iż oddalenie jego zmniejszyło ojcu ciężar trudnego utrzymania licznej rodziny.

Zamówienie do książki, wyniesione w zarodzie z domu rodzicielskiego, dało mu w ręce opisy stron dalekich, które uderzyły żywą i poetyczną wyobraźnię; rzutna i dzielna, rycerska natura górala ozwała się w czeladniku tkackim, a głęboka religijność dała kierunek tym wszystkim przymiotom młodego ducha i zapragnał nieświeżość wiary tłumom ciemnym. W jego położeniu przecież trzeba było żelaznej wytrwałości i wielkich choć drobnych niby, codziennych składanych ofiar, aby dojść do celu. Prócz teologii, która była podstawą jego duchownego powołania, trzeba mu było wiedzy pozytywnej, podpierającej zawód podróżnika w stronach dalekich i zdobył ją sobie równie siłą własną; studiował wszystkie umiejętności, zostające w związku z geografją, studiował następnie medycynę, a otrzymawszy wymagany stopień lekarza medycyny i chirurgii, wszedł w 1838 r. do towarzystwa misyjnego w Londynie, z zamiarem udania się

do Chin, ale wojna wybuchła w tym kraju zmusiła go do zmiany postanowień i Towarzystwo misyjne wysłało go w 1839 r. do kolonii angielskiej w Afryce południowej, do Kapu, gdzie przybył w 1840 r. W roku 1843 posunął się w piękną dolinę Mabotsa, poznał rodzinę misjonarza Roberta Moffat i zaślubił wkrótce jego córkę. Kilka drobnych wypraw w głąb okolicy wzbudziło w nim myśl płodną zbadania Afryki południowej, posuwając się z wolna otworem kąta, zarysowującego się między Oceanem Atlantyckim a Oceanem Indyjskim. Krajowcy, a raczej Holendrzy wywłaszczeni z posiadłości Kapu przez Anglików, założyli na północ kolonii angielskiej rzeszpospolitą Transvaal i tamto skierował się Livingstone najpierw, zawsze jeszcze więcej misjonarz, niż geograf i przez lat dziewięć przebywał w tej krainie górzystej, przebiegając ją pracowicie i odbywając niejako trudny nowicjat podróżnika. Uczył się wszystkich rzemiosł potrzebnych odważnemu bohaterowi nauki, który się zapuszcza w dzikie i spalone żarem słonecznym pustynie Afryki, aż w 1849 roku puścił się na śmiałą wyprawę w kierunku Afryki środkowej.

Przedsięwzięcie było pełne trudu i niebezpieczeństwa, i młoda małżonka nie chciała puścić go samotnie. Pochodziła ona z rodu tych odważnych kobiet angielskich, którym należy się Niemniej jak ich mężom nazwa misjonarzy, bo nie tylko podzielały ciężką ich rolę, puszczając się w nieznaną i dzikie okolice świata, ale można powiedzieć, że biorą po połowie udział w pracach misyjnych, stawiając przed oczyma dziejczy pogańskiej obraz rodziny chrześcijańskiej i cywilizowanej. Małżonka Dawida Livingstone nieulekła się trudniejszego jeszcze zawodu podróżnika, towarzyszyła mężowi dzieląc trud i niebezpieczeństwa i kochająca ta żona wytrwała wiernie w poświęceniu swoim aż do końca życia, które skróciły niewygody i zabójcze wpływy klimatu afrykańskiego. Była to więc dusza nie mniej piękna, jak dusza Dawida Livingstone'a i to co on poświęcał dla miłości nauki, dla ludzkości więc w dalszym myśli wywodzie, ona składała na ofiarę dla świętych uczuć serca i szeroko pojętych obowiązków rodziny. Gdyby też ktoś chciał z tej pary ludzi szlachetnych wyciągać wnioski o wzajemnym stosunku mężczyzny i kobiety, działałyby one równie i bez żadnej ujemy w dostojności swojej, jeden mógłby się zwać dopełnieniem drugiego, bo kto wie gdzie czasem człowiek czerpie siły które stanowią o wytrwałości jego w pracy i może Dawid Livingstone byłby się zmęczył wcześniej, byłby może zniekał się w tęsknocie i samotności serdecznej, gdyby miłość wierna nie towarzyszyła mu tklivie, gdyby delikatna ręka kobiety nie otoczyła poświęconego pracownika czujnością troskliwego starania. To też powiedzieć można, że żony misjonarzy angielskich przedstawiają najszlachetniejszy typ kobiety małżonki, a mimochodem wturamy tu myśl, że niezależnie od okoliczności może to być pierwowzór każdej żony podniosła podejmującej obowiązki ślubowanej mężczyźnie wierności. Nie tylko pod żarem afrykańskiego słońca życie ludzkie skazane jest na przebywanie śmiertelnie męczących pustyń; nie tylko dziki człowiek czatujący w zaroślach papyrusowych przedstawia niebezpieczeństwo, któremu gardzi duch heroiczny. Niech kobieta, sercem i duszą wytrwała, towarzyszy zawsze mężowi tam, gdzie go wzywają wielkie sprawy jego sumienia, szlachetne porywy podniosłego ducha i serca bijącego świętą miłością dla ludzkości, dla społeczeństwa swojego, a każda dokona w zupełności swego działu pracy misyjnej.

Wracając do przedmiotu głównego, trzeba nam wskazać kierunek tej drugiej wyprawy Livingstone'a, który puszczając się górzystym pasmem, jakie na zachód od Transvaal, dolinę jego tworzy, poblikiwał się nieraz wśród wyniosłych równin zachodnich. Przebywszy Schoschong, zapuścił się w nieznaną krainę Sekomosa gdzie nagle zastąpił mu drogę kanał przelewający wody bagnistego jeziora Tehuantsa do znacznej już rzeki Souga, która o trzydzieści mil dalej tworzy jezioro N'Gami. N'Gami było pierwszym z wielkich jezior odkrytych przez Livingstone'a. Data tego odkrycia przypada na 1 Sierpień 1849 r.

W drugiej tej wyprawie posunął się Livingstone o trzy stopnie szerokości ku równikowi. W trzeciej zaś, dłuższej niż poprzednia, a dokonanej między rokiem 1851 a 1853, posunął się od 19° do 14° stopnia i zbadał szczęśliwie główny dopływ rzeki Zam-

bezy od jego tam zbiegu aż do zbiegu rzeki Liba w wielkim królestwie murzynów Sekeletou. Z tej wyprawy rozmiłowany w dziele swym podróżnik nie wrócił na odpoczynek i sił wyczerpiętych nabranie, ale cofnąwszy się do Linyanti, stolicy króla Sekeletou, udał się wkrótce ku północy i biorąc się nieco na zachód, szybko przebył tę część kraju, i dnia 31 maja 1854 r. dotarł do portu Loanda w Afryce Zachodniej. Ktoby z mapą przed oczyma przemierzył sobie drogę przebytą i potrafił zarazem odtworzyć w myśli warunki, wśród jakich jedynie dokonywana być mogła, musiałby uczuć cześć dla człowieka tak hartownie wytrwałego, tak dzielnie znoszącego trudy. Dość też było tego, aby mu zapewnić imię sławne w rocznikach znakomitych prac geograficznych, przecież Dawid Livingstone nie spoczął i to czego dokonał, było jedynie wstępem do stokroć śmielszej i ważniejszej wyprawy. Polegała ona na przebyciu wskroś całej przestrzeni położonej między 20° a 10° szerokości południowej.

Dwudziestego września 1854 r. puścił się znów drogą, która go przywiodła na brzeg morski i zagłębił się wewnątrz Afryki, zatrzymując się wielokrotnie dla zbadania biegu wód ważniejszych.

Wrócił do królestwa Sekeletou i postępował niemal prosto w kierunku wschodnim, albo raczej z biegiem rzeki Zambezy, niekiedy przecież postępując w znacznej odległości od brzegów rzeki. Dnia 23 maja w 1856 roku przybył do portu Quilimane, położonego na północ ujścia rzeki Zambezy do oceanu Indyjskiego, w takiej niemal odległości jak port Sofala leży na południe. Jeżeli ukazanie się Livingstone'a w portugalskiej stacyi św. Pawła de Loando, po wyruszeniu jego z Kapu, gdzie sądzono że zginął od dawna, wywołało okrzyki zadziwienia, niezmierzone one były w porównaniu ze wzruszeniem uwielbienia i chórem sławiących go głosów, które rozlegały się, aż w Anglii, gdy ujrzano go nagle u ujścia Zambezy. Dzielny badacz dokonał sam jeden w przeciągu lat pięciu tego, co wszyscy podróżnicy świata nie zdolali uczynić przez wiek cały. Był to jakgdyby olbrzymi popis sił niesłychanych i zadziwiający woli i wtedy też Livingstone, który wyjechał z kraju nie nieznającym i ubogim młodzieńcem, wrócił znakomitym człowiekiem, o którym pisano na świecie całym, który dostał od londyńskiego i paryskiego Towarzystwa geograficznego wielkie medale złote i został członkiem korespondentem tych ciał uczonych, a jako owoc dalekich swych podróży wydał ciekawe dzieło: *Podróże i poszukiwania misjonarza w Afryce południowej* (Missionary travels and researches in South Africa).

Książka została w okamgnieniu rozechwytałą i Dawid Livingstone mógł spokojnie używać w ojczyźnie sławy i dobrobytu, jakie literackie jego prace zapewniały mu teraz. Ale natchnienie, które popychało go naprzód nie opuściło go jeszcze. Rzucił znów kraj i przy końcu 1858 roku stanął na gruncie afrykańskim w znajomej już dziś stronie ujścia rzeki Zambezy. Teraz właśnie rozpoczął się miała wielka era jego działalności.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Wiedeń.

Kto lubi kontrast: „pałaców sterczących dumnie“ a wilgotnych nieopalaných nor; musującego szampa, a błota płynnego, które pije ludność po przedmieściach, gdzie jeszcze niema nowych wodociągów; najwznioślejszej sztuki, a bezecnych, cynicznych „ludowych“ widowisk; obłudnej elegancji, świetnego towarzystwa, usług finansowych i rodowych, a serdecznej wesołości filistrów, do których mieszają się zbankrutowane wielkości lub osadzone na bruku sprężyny finansowe i t. d., ten obecnie w Wiedniu obfite znajdzie pole do humanitarnych refleksji, a wszystko to uczynił *krach* — der grosse, grosse krach, który stał się przysłowiem, tak jak przedtem zwyczaj tu był powtarzać za Heinem: das hat mit ihm Sang die Lorelei gethan. Nie przeto jednak, żeby *krach* był istotnie przyczyną uniwersalną,

owszem i krach sam i dalsze jego skutki, są wynikami tysiącznych przyczyn, gorączki na każdym polu działania, polowania na ośle, bez względu na uczciwość i na prawdopodobieństwo za złotym cieclem; a między temi przyczynami chybiłoby zupełnie pomysł wystawy powszechnej niepoślednią gra rolę.

Wszystko co się tylko obecnie dzieje, lub nie dzieje w Wiedniu, odnosi się do tych dwóch wydarzeń: krach i wystawa, a na trzecim dopiero planie stoją sprawy ustaw wyznaniowych, którym napróżno dzienniki starają się tyle nadać rozgłosu, żeby niemi zagłuszyć całą właściwą nędzę stosunków społecznych nie tylko w Wiedniu ale i w całej Austrii. W sferze przemysłu, handlu, fabryk, rzemiosł, zupełna stagnacja. Rządowe kasy pożyczkowe okazały się złudzeniem, towarzystwa budowlane nie mogą się dźwignąć ani skonać, więc niema roboty. Ogromne magazyny, sklepy... napełnione od góry do dołu stoją osamotnione, nikt nie kupuje. Resztki zapasów gotówki wyczerpują się, klęska finansowa z każdym dniem dotkliwiej daje się dopiero teraz we znaki. Wertheim słynny fabrykant kas ogniotrwałych zeszedł z 700 robotników na 150, wszędzie to samo, albo jeszcze gorzej; w Białym, w Bernie, w Pradze pozamykano fabryki. Więc wszystkie ulice wypełnione plakatami o sprzedaży za połowę wartości, albo o sądowych licytacyach; anonsa najnieprawdopodobniejsze są istotnie prawdziwymi, za 2 floreny można kupić materyał na domową suknię damską; wszystko co tylko nie jest nieodzowną, codzienną potrzebą, można w Wiedniu teraz dopiero kupować o 200 procent niżej niż podczas wystawy, zato chleb i bułki coraz mniejsze. Maszyny do szycia na jedną nitkę po 15 florenów wyborne, na podwójną nitkę Wilsona po 45 florenów (dotąd były najniżej po 70), a i tak nikt nie kupuje, sprzedający dają na wypłatę po 1 złoty na tydzień, byle choć coś targować i przeklinają krach i wystawę. Więc w parlamencie obrady nad ulgami celnymi dla przemysłu — ale daremne, więc zajmowanie się stanem i potrzebami drobnego przemysłu, narady z delegatami każdego cechu — chciałem powiedzieć stowarzyszenia — z osobna; zbiera się z tego materyał bardzo ciekawy i pouczający, ale tymczasem niema co jeść; więc odświeżenie kwestyi robotniczej, domagania się osobistych w parlamencie przedstawicieli „stanu“ robotniczego, narady ministrów i posłów z delegatami klubów robotniczych — ale tymczasem niema co jeść! Codziennie donoszą poranne i wieczorne dzienniki o samobójstwach z powodów albo czysto finansowych, albo finansowo-miłosnych. W ostatnim razie są *samobójstwa podwójne* — to jest on i ona — albo jedno albo drugie biedne; lub z niższego, „stanu“ najmuja pokój w hotelu, i ponieważ im się pobrać nie daje zażywają truciznę. Te „Doppelselbstmorde“ są już zwykłym wypadkiem, tak dalece, że anonsa w dziennikach je zapowiadają, a wypadkom tym towarzyszy ciągłe zakładanie i odkrywanie przez policję domów gry. Wyborną ilustrację tych stosunków przyniósł jeden dziennik humorystyczny: komisarz policji odkrył dom gry i spieszy, żeby graczy złapać na gorącym uczynku; ale w tej samej kamienicy na dole jest kantor loteryi liczbowej. Tutaj obłędnie, biedny lud tłoczy się, żeby tu fortuny próbować — komisarz nie może się przepchać — a tymczasem gracze, przebywający na piętrze, uciekają. Napróżno rokrocznie w rajchsracie podnoszą się głosy żądające zniesienia loteryi liczbowej. Mimo takiego stanu, albo raczej właśnie dlatego, przemysł wysila się na rozmaite koncepty i wynalazki, żeby sobie pomóc. Z wynalazków tych na biedę tylko obliczonych, niektóre są istotnie praktyczne, i nasi rękodzielnicy powinni by sobie zaraz poprzyswajać. Dla przykładu przytoczę: kuchnie naftowe, na jedno lub dwa naczynia, wyborne dla ubogich kobiet, studentów a nawet wszędzie gdzie rodzina jest mała. Jest to rodzaj lampy z blaszczanym cylindrem; rosół ugotuje się za 1½ centa nafty, kuchnie te kosztują, jako nowe 4 floreny, później będą po 2 floreny. Lampki nocne, oszczędne, naftowe, w których pali się nie knot, ale nitka, po 40 i 60 cent.; lampki olejne z pływającym knotem, na których można i przygrzać coś w naczyniu, po 80 centów — obie ostatnie wyborne do pokojów dzieciennych. Naftę probują też używać za motor do poruszania machin, niepotrzeba tam już węgla, ani pary, ani kotłów, ani fundamentów, są to maszyny najwyżej na siłę dwóch koni, dla drobnego przemysłu,

zdaje się będzie to świetny wynalazek. Dotąd jednak są za drogie.

Srodkiem, który ma przynieść pomoc ogólnej nędzy i następcę robotę, są budowy rozmaitych kolei. Dla Galicji ważną jest linia Tarnów-Leluchów, to też samych przedsiębiorców Polaków, którzy starają się o roboty i dostawy, liczą tu do 500; ci nieustannie w Wiedniu siedzą. W związku z koncesjami na drogi żelazne zostaje nowe przedsiębiorstwo: „Spółka kopalń tatrzańskich“, o jego ważności i znaczeniu może objaśnić artykuł, jaki o nim podał „Czas“, a z niego wiedeńskie dzienniki powtórzyły. Jest to sprawa, oprócz ekonomicznego znaczenia pełna poezji, dlatego niewątpliwie, że nawet czytelniczki Bluszczu zainteresuje: „Za inicjatywą pana Czaplickiego zawiązała się spółka (Stehlik, Kwiatkowski, Szczepański...) pod firmą Stehlik et comp., która ma za zadanie korzystną eksploatację kopalń w Tatrach i Karpatach, a mianowicie w pierwszym rzędzie: granitu, piaskowca, wapienia, marmurów. Wiadomo, że kamień w ogóle jest bogactwem, jeżeli się znajduje w bliskości dróg, gdzieindziej zaś nie ma wartości, chyba na miejscową potrzebę. Wspomniona też spółka zadzierżawiła na lat 20 te miejscowości i pasma skał, które leżą tuż przy kolei i mają bezpośrednią lądową lub wodną łączność z Krakowem, Lwowem, Pesztem i Wiedniem. Spółka posiada już trzy łomy granitowe otwarte, z których dostawiać będzie granit dla budujących się kolei, na bruki dla miast węgierskich i t. p., a między innymi też granitowe kwadry i płyty na pomnik *Straszewskiego* (założyciela plantacji) w Krakowie. Inne eksploatacje niebawem też spółka rozpocznie.

Przedsiębiorstwo to wielkiej jest dla kraju wagi; pomysły jego rozwój może nadać zupełnie inną postać całemu karpaciemu Podgórzu i zapewnić wielki ruch towarowy kolejom w Galicji, a niemniej i sąsiadnym, węgierskim. Rozpoczętym robotom towarzyszy lud górski swoim błogosławieństwem, ma bowiem widoki polepszenia swej doli, przez zwiększenie się zarobku, którego brak obecnie dotkliwie, bo w formach nędzy, odczuwa¹⁾.

Spółka wzięła się do dzieła po dokładnym zbadaniu rzeczy i wszelkich potrzebnych warunków; ma też zapewniony dobry fachowy kierunek pod dyktando p. Edwarda Stehlika zaszczytnie znanego rzeźbiarza i kamieniarza.

Mamy nadzieję, że niebawem usłyszymy więcej o działaniach spółki, która może urzeczywistnić nadzieje stawiane jeszcze przez *Staszica*.

Pierwszy też łom zamierza spółka uroczyscie nazwać: „Łom Staszica“ i będzie na nim wyryty następujący napis:

Gdzie Tatrów rdzeń i szczyty,
Gdzie krasy nasze—
Gdzie pod niebieskie zenity
Z ognia wyrosły granity²⁾
I orle lata ptaszę;
Tu rdzenna polska cnota,
Pracy nosząca znamię,
Maluczkie tu robota
Olbrzymy łamie.
Tu wzór w obrazie,
Tu przykład na głazie:
Łot przez przepaście
I skruszone skały—
To ideały.

Alf.

Z Wiednia zajechałem w Tatry—ale bo też o nich a propos kolei dużo tu mowy po mieście i w parlamencie.

Inna sprawa dotycząca codziennego chleba, wiele tu narobiła wrzawy, a nawet tuszono, że przyprawi ona gabinet teraźniejszy o upadek. Szło o zniesienie stempla od gazet. Jest to opodatkowanie codziennego chleba oświaty, po zniesieniu stempla byłyby dotychczasowe dzienniki o 3 floreny na rok tańsze, powstałoby wiele nowych, a nawet za darmo by je rozsyłano, bo inseraty pokrywałyby te koszty sownie. Otóż i tu odegrał rolę *krach*, ale moralny. Obawiano się, że dziennikarstwo w Wiedniu zdemoralizowane, sprzedajne, zsojuszane z wszelkim szwindlem, dopiero zacznie szeroko rozlewać truciznę, je-

żeli więzów stemplowych się pozbędzie i dlatego sprawa słuszna, jeszcze teraz upadła. Jest to publiczny policzek dla wiedeńskiego dziennikarstwa, zadany mu przez ministrów, których ono za swoich apostołów właśnie uważało. Więć też sprawa ta, oraz krach i ustawy wyznaniowe, co do których obecny rząd zajmuje zbyt umiarkowane stanowisko, zakłóciły zgodę dziennikarstwa z rządem. Rozpoczęła się kampania na obalenie gabinetu, i niechybnie bliższe zmiany spowoduje. Na porządku dziennym była też tu przez niejaki czas sprawa kobieca, a to z powodu postanowienia rządu, aby przyjmować kobiety na urzędniczy w służbie pocztowej. Dzienniki po większej części lekko tę sprawę traktują, rzadko trafi się jakie zdanie na serio. Jeden dziennik postawił zasadę, że *praca pośrednicząca* (vermittelnde Arbeit) jest właściwą sferą dla kobiet, podczas gdy *praca produkcyjna* musi być wyłącznie męczyznom pozostawiona. Jest to frazes, określenie zbyt luźne, bo czyliż praca w biurze pocztowym nie produkuje ruchu, komunikacji; a praca w szkole, a rzemiosła jak krawieczyna, zegarmistrzostwo, a cała dziedzina przemysłu ozdobnego, i szczytna sfera sztuk pięknych, czyliż nie są i produkcyjnymi i zarazem właściwymi dla kobiety?

Jak we Lwowie urzędowa Gazeta lwowska, tak i tu Gazeta wiedeńska od pewnego czasu odznacza się doborem artykułów, dobrami fejletonami, pod którymi spotykamy często nazwisko dr. Blumenstocka krakowianina, zapoznającego świat niemiecki z literaturą polską. Niedawno temu czytaliśmy tam recenzję znakomitego dzieła dr. Wojciechowskiego Tadeusza z Krakowa p. t. *Chrobacza*, rozbiór starożytności słowiańskich, dzieła pierwszorzędnej wartości, które wzbudziło i podziw i ciekawość wielką u Niemców i Czechów, otwiera ono bowiem i uzasadnia nowe metody badania. Dotychczasowej t. z. archeologii naszej ani się śniło dotąd o takiej pracy, w dziele tem ma ona wskazany dopiero dla siebie właściwy cel i drogę. Pod względem erudycji dzieło to można porównać chyba z Buckla *Historią cywilizacji*.

(Dokończenie nastąpi).

O sposobach kształcenia głuchoniemych

prelekcyja prof. PAPŁOŃSKIEGO.

Druga z rzędu prelekcyja publiczna na korzyść osad rolnych odbyta w sali ratusza w d. 25 z. m. zgromadziła znaczną bardzo liczbę osób. Można się było spodziewać tak liczego zebrania publiczności, wiedząc, że p. Jan Papłowski, kierujący zakładem dla głuchoniemych i ociemniałych, który szczyty się takim uznaniem całego kraju, a nawet zagranicy, będzie mówił „O sposobach kształcenia głuchoniemych“. — Szanowny prelegent wymieniwszy główne niedostatki, z jakimi przychodzi na świat dzieci upośledzone pod względem braku jakiego zmysłu, wspomniawszy, że losem tych nieszczęśliwych dopiero od niedawnego stosunkowo czasu zajmuje się społeczeństwo. Popierając dowodzenia swe cyframi statystycznymi, prelegent wykazał, że główną przyczyną głuchoty i połączonej z nią zwykłe niemoty, prócz przyczyn przypadkowych, jak np. tyfus, choroby mózgowie, jest zawieranie związków małżeńskich pomiędzy bliskimi krewnymi, słusznie wzbronionych przez kościół katolicki, lub też złe życie i nałogowe pijaństwo ojca; wreszcie kalectwo głuchoniemoty przechodzi dziedzicznie. Sz. prelegent odmalował, dosadnymi słowami, smutny los biednych dzieci, pozbawionych od urodzenia, lub w pierwszych latach dzieciństwa słuchu, jednego z najważniejszych zmysłów, a jako następstwo, pozbawionych również głównego środka porozumiewania się z ludźmi, mianowicie mowy. Jak wiadomo bowiem, niemota jest zwykle skutkiem głuchoty, choć czasami powodowana bywa brakiem zdolności wydawania głosu. Dziecko głuche niema żadnego pojęcia o całym szeregu zjawisk głosowych, nie może naśladować mowy otaczających, przyczem naturalnie i organa głosowe słabo się rozwijają. Jasnym jest, że istota tak trudno porozumiewająca

się z otaczającymi, mały ma zapas wiedzy, zwłaszcza, że zwykle bywa zaniedbywana. Pomimo to jednak, każdy głuchoniemy przychodzący do zakładu posiada pewną zdolność porozumiewania się z bliskimi, za pomocą gestów czyli mimiki. Ale te znaki jak narzecz, jednego języka różnią się między sobą znacznie i tak np. podczas kiedy jeden dla oznaczenia konia naśladuje ruchy nóg końskich, drugi pokazuje siedzącego na koniu jeźdźcę. Pierwszym więc celem nauczyciela jest sprowadzenie tych wszystkich znaków do zgodności, tak, aby wychowawcy łatwo pomiędzy sobą i ze zwierchnością porozumiewać się mogli. — Jakąż tu jednak na każdym kroku trudność spotyka nauczyciel. Wzrok uczniów musi mu co chwila zastąpić brak słuchu, tego tak ważnego czynnika pedagogicznego. Wszystko więc polega na tak zwanej metodzie pogładowej.

Każda rzecz musi być pokazywana uczniowi, każda czynność zaraz wykonywana, niema bowiem innego sposobu porozumiewania się. Oto opis jednej lekcyi podany przez prelegenta.

Nauczyciel przychodzi do klasy, gdzie poprzednio usunięto krzesło w róg sali. Nauczyciel szuka miejsca aby usiąść, siada na oknie, na ławce, na ziemi, póki jaki domyślny chłopezyk nie poda mu krzesła. Nauczyciel próbuje jakby go użyć, czy to głowę nań wesprzeć, czy położyć się wzdłuż, czy usiąść z nogami; dzieci wciąż mimiką wskazują niewłaściwość jego postępowania. Nareszcie usiadł jak należy; dzieci potwierdzającym znakiem okazują, że z krzesła uczyniony został właściwy użytek. Następnie nauczyciel chcąc okazać, że krzesło zrobione jest z drzewa, przynosi do klasy kawałek żelaza, trochę piasku, gliny i t. p. rzeczy, porównyując te ciała z materiałem, z którego zrobione jest krzesło; uczniowie wciąż dają znaki przeczące, dowodząc, że rozumieją różnicę pomiędzy temi ciałami. Nareszcie zobaczywszy kawałek drzewa, który nauczyciel pokazuje im na ostatku, dają mu znak, że z takiego materiału zrobione jest krzesło. Teraz nauczyciel prowadzi dzieci do ogrodu i okazuje im drzewo. Kawałek drzewa obrabia siekierą i piłką, a dzieci zrozumiaływszy to, że nauczyciel chce im pokazać jak się robi krzesło właściwymi znakami potakują. Po dokonaniu tych objaśnień nauczyciel pisze na tablicy wyraz krzesło — potem pisze wyraz drzewo, okazując że z drzewa zrobione są ławki, szafa, podłoga, tablica i t. p.

Jeżeli dla opisanego każdego przedmiotu potrzeba bardzo wielu porównań, o ileż ich więcej jeszcze potrzeba dla oznaczenia czynności, własności lub przedmiotu, a więc pojęcia umysłowego. Kategorie rzeczy oznaczają się w ten sposób, że np. ojciec, matka, dziecko napisane na tablicy, zakreślają się linią wokoło przyczem pisze się „człowiek“.

Przy każdym jednak twierdzeniu, dla jasnego pojęcia, potrzeba przeciwstawić przeczenie, a więc np. dla przeciwstawienia człowiekowi — istoty żyjącej występuje lalka, która jak ją okazuje nauczyciel nie może być wzięta za człowieka, albowiem nie żyje, nie porusza się, niema rozumu i t. p.

Jeszcze więcej trudności napotyka nauczyciel dla udzielenia pojęć oderwanych o Bogu i Jego przymiotach. Przyznajemy, że za każdym słowem Sz. prelegenta wzrastało w nas najgłębsze uznanie dla zacnych pracowników kształcących z takim mozołem te biedne, nie z własnej winy cierpiące istoty. Dalej zapoznał nas prelegent ze sposobem nauczania jednoczesnego wymawiania głosek, pisania takowych na tablicy i na kajecie. Przyczem nauczyciel z pomocą kościanej tafelki lub palcami musi ułożyć odpowiednio język, usta i wargi ucznia, aby on mógł wydać dźwięk, którego nie słyszy. Nauka zaczyna się od samogłosek, poczem według zasad metody dźwiękowej, spółgłoski dodają się do samogłosek, traktowane zaś oddzielnie nie są. W ten sposób dziecko nie uczy się już że be—a ba, lecz odrazu wymawia zgłoskę podług dźwięków panujących w wyrazie.

Wspomniałszy o rozkładzie nauk w pojedynczych klasach prelegent powiadomił nas, iż każdy z uczniów w wyższych klasach pisze swój dziennik. Zakończył Sz. prelegent uprzejmem zaproszeniem życzących sobie poznać bliżej Zakład Warszawski, dodając że takowy zawsze jest dla publiczności otwartym.

E. P.

¹⁾ Dwa starostwa w Myślenicach i Nowym Targu, wydają rocznie 50,000 paszportów góralom, którzy na zimę emigrują gdzie się da, żeby w domu z głodu nie umrzeć.

²⁾ Granitowe skały są formacją wulkaniczną.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Dokończenie).

Nigdzie niema mowy ani o wiatrach passatowych, ani o prądach morskich, ani o opadach atmosferycznych, to jest, o owych czynnikach fizycznych, które tak wielki wpływ na temperaturę, a tem samem i na klimat wywierają. Bez tego niepodobna zrozumieć twierdzenia p. J., wygłoszonego na str. 125, iż „klimat lądu amerykańskiego jest daleko ostrzejszy, aniżeli innych części świata, w miejscach leżących pod tą samą szerokością geograficzną“. Pomijamy już to, iż przyczyny przywołane przez autora, jako mające wpływać na owo obostwienie klimatu, są zupełnie fałszywe, a nawet wbrew jego twierdzeniu mówiące, np. lasy i wody wedle autora, mają przyczyniać się do obostwienia klimatu — jest to odkrycie dopiero przez niego uczynione; nauka zaś oddawna dowiodła, że tak wody przez swe ustawiczne parowanie, jak i lasy używające cienia i zatrzymujące chmury i wiatry, a przez to sprowadzające deszcze, nie dopuszczają zbyt wielkich krańcowości w temperaturach pojedynczych pór roku, a tem samem łagodzą klimat. Na str. 117, przy opisie Afryki, natrafiamy na tak ciemne i zawiłe miejsce, iż nie tylko uczeń, ale i nauczyciel jest w kłopotcie, nad rozwiązaniem następującego twierdzenia: „położeniem względem równika, należy tłumaczyć cały układ tej części ziemi (Afryki)“. Naprawdę silił się dość znaczenia tych słów. Może pan J. przez ten „układ“ rozumiał kształt geometryczny i poziomy Afryki, a więc budowę i rozwój jej wybrzeży. W takim razie trudno zrozumieć, jakim sposobem pozostawać one mogą w związku od równika. Jeżeli zaś autor przez ów „układ“ pojmował ukształtowanie pionowe lądu, to jest owe nierówności i wypukłości ukazujące się na ziemi (wyżyny, niziny, doliny, zagłębienia), w takim razie jeszcze trudniej objaśnić, aby te nierówności zależały od równika, tembardziej, iż tak równik, jak i w ogóle wszystkie koła przecinające niby globus ziemski, są to tylko idealne płaszczyzny, istniejące li tylko podmiotowo, a wymyślone przez uczonych dlatego, iżby można przy ich pomocy oznaczać położenie wzajemne punktów i ich odległości.

Jeżeli można poniekąd usprawiedliwić niedostatki dotyczące metody, natomiast usterki i błędy odnoszące się do samego przedmiotu, trudniejsze są do usprawiedliwienia. Przez wykazanie takowych nie chcemy czynić ujemny zasługę, jaką sobie zjednał pan J. wydaniami poprzednio podręcznikami. Krytyka winna zawsze wyświetlać nagą prawdę, odłączać od nauki obce jej naleciałości; nie powinna ona niczego bezwarunkowo uwielbiać ani potępiać. To jest jej zadaniem. Spodziewamy się, iż pan Jeske uzna słuszność naszych zarzutów i w następnym wydaniu (gdyż cenne jego prace pedagogiczne doczekają się zapewne niedługo powtórnego wydania) usunie owe błędy, jakie tu popełnił. Mianowicie na str. 119, przy opisie roślinności Afryki dowiadujemy się, iż „ogromne drzewo baobab (zamiast baobab, adansonia) spuszcza gałęzie swe do ziemi, gdzie zapuszcza korzenie w nowe zamienia się drzewa, zagajając całą okolicę“. O ile nas uczy botanika, to właściwościami takimi odznacza się nie baobab, ale banyan, gatunek figi rosnącej w Indiach Wschodnich (zwany po łacinie: ficus religiosa v. indica, dlatego że u Indów drzewo to za święte jest uważane). Ale to błąd stosunkowo mały, dalej przecież na str. 112, niezależnie państwo Anam, leżące na wschodniej stronie półwyspu Indochińskiego pan J. zrobił posiadłością Francuzów i umieścił w prowincyi Kochinchinie, zostającej pod władzą Francji. Rzecz się ma zupełnie przeciwnie: fran-

czuska Kochinchina z m. Saigon, jest częścią kraju Anam i leży na jego południu, a więc jako część nie może obejmować całości. Pustynię Sahara (str. 120) autor przedstawia jako wyżynę, geografowie zaś mają ją za nizinę. Nizina ta stanowiła niegdyś dno obecnie wyschniętej odnogi morskiej, mającej związek z Atlantykiem i morzem Śródziemnem. Niebitym dowodem tego są ogromne pokłady solne i słone bagna na pustyni, gdzie znajdują się jeszcze muszle morza Śródziemnego. Należało tu także wspomnieć o nierównościach i pasmach gór przegradzających tę nizinę, a które stanowiły wtedy szeregi wysp. Dziwiemy się iż pan J. w Afryce wiedział tylko o dwóch jeziorach: Tsad w Nigrycy i Teana w Abissynii; nie wiedział zaś o innych wielkich jeziorach, jakie zalegają środek południowej Afryki, a mianowicie o jeziorze Victoria-Nyanza (Ukerewe), Luta-Nzige, Tanganyika, Marawi, Bangweolo, odkrytych przez Speka, Granta, Bakera i Livingstona, i nie wymienił ich, choć one daleko ważniejsze od poprzednich. Piszac geografii, winien był uwzględnić najnowsze zdobycze na tem polu i czerpać materiał z nowszych prac geograficznych. Ale tem dziwniejszem jeszcze nam się wydaje, iż pan J. przy opisie Galicyi na str. 68, Karpaty i Tatry uważa za jedno i toż samo. Karpaty, jest to tylko nazwa ogólna owego wielkiego pasma gór, ciągnącego się wielkim nieko ku północy wydanym łukiem, na przestrzeni 120 mil od Brzetysławy (Preszburga), na zachodzie, po lewym brzegu Dunaju, do Rżowy (Orsovy) na wschodzie, to jest, do ostatniego wyłomu tej rzeki. Tatry składają tylko część Karpat, ich najwyższe gniazdo, najdalej w głąb Węgier wsunięte, oddzielone ze wszystkich stron od reszty gór dolinami i odmienną od tych gór budowy geologicznej. Na str. 49 autor utrzymuje, iż „wzgórza gubernii Lubelskiej nie dochodzą nawet do 500 stóp wysokości“. O ile wiemy, w południowych okolicach tej gubernii są wyniosłości przechodzące nawet 1000 stóp nad poziom morza, jak na przykład góra pod Urzędowem, Kawenczyn i Huta. W Kunowie, miasteczku gubernii Radomskiej, pan J. znalazł czerwony i zielony marmur — o ile nam wiadomo, znajdują się tam tylko pokłady piaskowca. Podobnych błędów dopuszcza się autor przy opisie Wielkiego Księstwa Poznańskiego, np. na str. 65 mówi, iż „wyborny grunt piaszczysty rodzi zboża więcej każdorocznie, niż go kraj potrzebuje“; jeżeli piaszczysty, w takim razie nie jest wyborny, może nim się stać tylko w skutek wielce starannej uprawy, ale z natury rzeczy grunt taki jest mało żyznym.

Pomijamy już pomniejsze usterki dziełka, a po-

wiemy tylko jeszcze o jego zewnętrznej formie. Książka pisana stylem prostym i jasnym, a językiem w ogóle starannym. Zaznaczamy tylko słabość pana J. do niektórych wyrażeń, jak np. *prześliczny* i *znakomity*, zbyt często, a niekiedy nawet zupełnie niewłaściwie używanych (zamiast: nadzwyczajny, bujny, wspaniały, bogaty). Czyż mowa polska nie posiada dość bogatego zasobu wyrażeń, aby można było uniknąć zbyt częstego powtarzania się. Nie wiemy, co mają znaczyć w pewnym miejscu geografii „niestychane lasy“ (zapewne rozległe, obszerne); język Polaków na Ślązku, jest wedle słów autora „nieco nadpsutym“. Zamiast *brytański* niewłaściwie p. J. używa *brytyjski*. Są jeszcze inne, ale już mniejszej wagi usterki, pochodzące z niedokładnej korekty, jak np. (str. 52) Niemen płynie środkiem guberni Łomżyńskiej.

Książka jest opatrzona drzeworytami ułatwiającymi wykład i zrozumienie przedmiotu.

Streszczając cośmy powyżej powiedzieli o geografii p. J., przyznajemy iż pod względem metody i sposobu przedstawienia, jego książka odznacza się zaletami. Autor wie dla kogo pisze i tylko kiedy niekiedy zapomina o celu i przeznaczeniu książki. Co do opracowania samego przedmiotu, pan Jeske nie był tyle szczęśliwym, widzieliśmy ujemne strony i niedostatki jego dziełka i podaliśmy czytelnikom wskazówki ich usunięcia i poprawienia.

Józef Wilkowski.

Księgarnia Michała Glücksberga, przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście Nr 7 (411) otrzymała na skład główny:

TANIE WYDAWNICTWO J. GRAJNERTA

1) Skarbczyk: Wybór powieści i opowiadań 12 tomików, z których już 8 opuściło prasę, nabywać można za cenę prenumeracyjną rs. 3. w miejscu; pocztą w kraju i zagranicą rs. 4. Ostatnia powieść wyszła p. t.: *Podróż na około świata w 80 dniach*, przekład z francuzkiego J. Verne. Tom IX niebawem wyjdzie.

2) Poezye liryczne i opisowe J. Grajnerta wraz z *Bajkami i przypowieściami*, poszytów 4-ry, cena w miejscu rs. 1 k. 15; pocztą rs. 1 k. 30.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20, półrocznie Rs. 3 kop. 60, kwartalnie Rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie w Urzędach i Ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10 ¹⁾, półrocznie Rs. 5 ²⁾, kwartalnie Rs. 2 kop. 50 ³⁾.

Od 1 Lipca wychodzą przy *Bluszczu* prócz zwykłego Dodatku obejmującego Wzory ubiorów i robót: **Mody kolorowane**.

Prenumerata wydania z dotychczasowymi Dodatkami i *Modami kolorowanymi* wynosi w Warszawie: miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; Rocznie 16.

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do redakcyi nadsyłać pieniądze wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z Cesarstwa upraszamy również, by żądania swoje raczyli, adresować nie do Ekspedycyi Gazet, lecz do redakcyi *Bluszczu* w Warszawie Nr. 411.

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów *Bluszczu*, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Wydawca.

¹⁾ Po niemiecku „Passat-Winde“; po francuzku „vents alizés“, — nazwy na oznaczenie wiatrów stale wiejących w strefie ciepłej, od wschodu. Anglicy nazywają wiatr passatowy „trade-wind“. (Przyp. Redakcyi.)

¹⁾ Licząc w to za pismo Rs. 7 kop. 20, opłata pocztę za przesyłkę Rs. 1 kop. 20, za przepaskę i ekspedycję Rs. 1 kop. 60. ²⁾ Za pismo Rs. 3 kop. 60, opłata pocztę kop. 60, za ekspedycję kop. 80. ³⁾ Za pismo Rs. 1 kop. 80, opłata pocztę kop. 30, za ekspedycję kop. 40.

TREŚĆ: Bohaterstwo. — Królestwo Noufreari, (poezya), przez Felicjana. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. A. Kraszewskiego. — Dawid Livingstone. — Korespondencya zagraniczna. — O sposobach kształcenia głuchoniemych, Sprawozdanie z prelekcji, przez F. P. — Przegląd piśmienniczy, (dokończenie), przez Józefa Wilkowskiego.